JÓZEF NAWROCKI



# STROFY

~~1360~~





# STROFY

JÓZEF NAWROCKI

# STROFY



LWÓW
KSIĘGARNIA POLSKA (B. POŁONIECKIEGO)
1903

Drukarnia Narodowa w Krakowie.

## WEZWANIE.

Kiedy się cisza wokoło czyni,
I każdy szmer
Budzi uśpione w przestrzeni dźwięki —
Ty, z pozłocistą lutnią u ręki,
Bogini pieśni, taktu mistrzyni,
Z nieznanych sfer

Przybądź! — po czole przesuń mi dłonią,
Twych szat powiewnych czarowną wonią
Na twarz mi wioń
I na twej lutni struny milczące
Opuść znienacka twych palców końce
I dzwoń — dzwoń, dzwoń...

Niech z nich uleci pieśń i zadźwięczy,
Niech zbudzi w ciszy tkance pajęczej
Ukryty chór,
Złożony z drobnych dzwoneczków ciszy —
Tę pieśń niech moja dusza usłyszy
I zadrga wtór.

Niech mi, gdy dotknę kraju twej szaty,
Zapachną w duszy najmilsze kwiaty:
Konwalje, bzy...
I niech śnię rzeczy ciche i wieczne,
Patrząc na twoje oczy bajeczne,
W których drżą łzy.

A gdy ulecą w ciszę piosenki,
Ty, w ślad za niemi, od strun lirenki
Oderwij dłoń
I na drobniutkich dzwoneczkach ciszy
W takt, który tylko dusza usłyszy,
Dzwoń, dzwoń — dzwoń, dzwoń...

o

# SAMOTNOŚĆ.

## TWÓRCA.

Ktoś drzwiami mojej duszy gwałtownie porusza.
— Kto to? — pytam z pośpiechem — lecz drzwi
się zatrzasną,
Przez chwilę tylko twarz widziałem jasną —
Za tą twarzą wybiegła na świat moja dusza.

Dziwny świat!...: to co zwykle zamglone i dalsze,
Teraz mi się wydaje odsłonięte, czyste,
Bliskie, proste, wyraźne, łatwe, oczywiste,
A zarazem subtelne, jakby doskonalsze.

Idę... Przed sobą jakby jakieś wielkie ręce
Widzę w dal wyciągnięte i, gdzie je położę,
Wykwita kształt i barwa — nowe światy tworzę.

Mój wzrok sili się dojrzeć w natężenia męce
Jasną twarz, gwoli której poszedłem w tę drogę —
Lecz Tego, co mnie wezwał, odszukać nie mogę.

o

## UŁUDY.

*Pani Gustawie P.*

I.

Codzień, w letni poranek, wzrok mój z okien pada
Tam na wzgórze, którego szczyt leśny przecina
Białą, nierówną taśmą biegnąca drożyna
Pośród łąki, na której stado ptaków siada.

I codzień mnie się zdaje, że tam, z drugiej strony,
Za górą, dokąd biała ta ścieżka się wspina,
Musi być jakaś wielka, słoneczna równina,
Kraj szczęścia, pełen kwiecia, cichy i wyśniony.

I choć wiem, że to tylko tak dusza się zrywa
Szukać raju i tylko nadarmo się mami
I próżno widma ziemi obiecanej wzywa,

Codzień mi ta ułuda staje przed oczami,
Codzień, kiedy zobaczę czarnych ptaków wianek
Na błękicie, nad łąką, w jasny, letni ranek.

o

## II.

Noc. Ciemność. Ziemia cała śpi, nakryta ciszą.
Głęboko, w rozświt mleczny, ponad moją głowę
Toną przepaście nieba ciemno-granatowe,
W nich z złota wytopione gwiazdy cicho wiszą.

Myśl lotnieje i wzbija się tam, między gwiazdy.
Tam mój kres, gdzie te światła, tam, gdzie te otchłanie —
I początek, gdzie owych mlecznych zórz świtanie,
Gdzie złote światy toczą swe szalone jazdy.

Tam wpłynąć i ucichnąć... Tam?... Tam w głębi może
W ciemnym, zimnym, bezdusznym wszechświata przestworze
Ziem trupy poszarpane dookoła wiszą,

I tylko ja blask widzę, gdy duszę otworzę
Na czar nocy, gdy ziemia śpi, nakryta ciszą,
A kwiaty, snem pojone, chłodną wonią dyszą.

o

III.

Nigdy mi się nic w życiu mojem nie szczęściło —
Nawet promień radości, gdy błysnął z za chmury,
To prowadził za sobą jakby cień ponury —
Jeślim kiedy chciał czego, to przeciwnie było.

A jednak czemuż nieraz, gdy się w sercu trudzę,
Coś mi nagle zaszepce, że wielkie, nieznane
Jakieś dobro mnie spotka jeszcze, niewidziane
Stanie w drzwiach mego domu, gdy się rano zbudzę.

Wierzyłem ja w to dawniej, póki moje wiary
Nie wytliły się jeszcze, a choć dziś nie wierzę,
Kiedy ludzi zobaczę, śmiejących się szczerze,

Lub sam z sobą zostanę o godzinie szarej,
Przychodzi mnie odwiedzać, pieścić po dawnemu
To dziecinne złudzenie, nie wiadomo czemu.

o

## W MŁODOŚCI MOJEJ...

W młodości mojej — inne kwiaty rosły,
Silniejsze miały i barwy i wonie,
Świeższe powiewy wiatry z sobą niosły
I żywiej biły źródła w ziemi łonie.

W młodości mojej — ludzie inni byli:
Otwarte mieli dusze, serca młode,
Jakoś od serca do serca mówili
I mieli w twarzach spokój i pogodę.

W młodości mojej — miłość światem władła,
Łączyła, tak jak zawiść dziś odtrąca,
Na ustach uśmiech przebaczenia kładła
I pełna była wiary i gorąca.

I nawet nie wiem, czy tak się zmieniło
To wszystko z czasem — czas także nie stoi, —
Czy raczej tylko to złudzenie było
Oczu i serca i — młodości mojej.

o

# BÓL.

## MYŚLAŁEM, ŻE PRZEMINIE...

Tak samo na zachodzie łuna dogasała
I tak samo w ogrodzie pachniały mi kwiaty,
Noc ręką niewidzialną światła zapalała,
Kiedym tą samą ścieżką szedł tędy przed laty;

Tak samo za klombami chłodny wietrzyk czuwał
W taki sam wieczór letni, o takiej godzinie
I tak samo, jak teraz, duszę ból rozkłuwał —
Tylko wtedy myślałem, że ten ból przeminie.

WRÓCICIE DO MNIE...

Choć w jak daleką wyprawię was stronę,
Za gór łańcuchy gdzieś, nad jeziór głębie...
Wrócicie do mnie, tak jak wypuszczone
Znów powracają do domu gołębie,
O, myśli moje!...

I choć was, kiedy wrócicie, uznoję
Tą męką pytań ciągłą i daremną,
Zwątpieniem struję, goryczą przepoję —
Zabić nie zdołam — żyć będziecie zemną
O, myśli moje!...

o

## RYBAK.

Zachód świat barwił wkoło: na dalsze wzgórz grzbiety,
Na leżące po łąkach lustra cichych wód,
Ponad wstające z dolin cieniów fiolety
Padał słońca ukośny i jaskrawy rzut.

Kolor przedmiotów zwolna przechodził w ton szary,
W jeden wielki, chłonący wszystkie kształty cień,
Milkły odgłosy, chrzęsty, szmery i rozgwary,
Którymi pracowity zwykł rozbrzmiewać dzień.

A z lasów się już gęste wychylały ciemnie...
I moje dzienne chęci — cała życia moc —
Poczynały wraz cichnąć i opadać we mnie.
W miarę jak życie ziemi uciszała noc.

Przez jakiś inny, nowy patrzania się kąt
Spojrzałem w dal, przed siebie, tą wieczorną porą:
Przedemną jakiś siny zamajaczał ląd,
Okalający ciche, głębokie jezioro.

Nad brzeg jeziora pędem przybiegł rybak młody
Odczepił łódź od brzegu, rzucił burkę w spód,

Wskoczył w łódź i na ciemną pchnął ją przestrzeń wody
Przez silny swojej ręki muskularnej rzut.

Pod silną dłonią żwawo biegła barka skora,
Rybak otrząsł ze sieci dawny muł i śniedź,
Potem zatrzymał barkę na środku jeziora
I w głąb jeziora spuścił powikłaną sieć.

Prężą się sznury sieci, snadź chwyciły połów.
Ale zdobycz w dół ciągnie, zadrżał barki zrąb,
Widać, że zdobycz wielka i ciężka, jak ołów,
I łatwo może nawet barkę wciągnąć w głąb.

Więc rybak w ciemną głębię utkwił wzrok ponury,
A jeden szybki, zręczny jego ręki skręt
Skrwawioną masę ciała wydobył do góry,
Ściśniętą w gęstą siatkę powikłanych pęt.

W rękach rybaka zawisł twór śliski i płaski,
Twarz jakby ludzką, tylko wykrzywioną miał:
Jakby kogo przedrzeźniał — twarz złośliwej maski,
A, dobyty na światło, całem ciałem drżał.

Rybak, ujrzawszy nagle ten niezwykły połów,
Ląkł się w swojem sercu, w rękach stracił moc,

I zdobycz drżącą, śliską a ciężką, jak ołów,
Wypuścił z rąk napowrót w ciemną głębi noc.

I wówczas to dostrzegłem w mem patrzaniu błąd:
Patrzałem w własnej duszy głąb wieczorną porą,
Bo nagle mi z przed oczu gdzieś się podział ląd,
Okalający ciche, głębokie jezioro,

Ów dziwny rybak, widny pod światło wieczora,
Gęste cienie w dolinach, gra światła wśród pól...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Ja byłem tym rybakiem: w głąb duszy-jeziora
Kładłem sieć i łowiłem z dna duszy — mój ból.

o

## WIDMO.

Zachód, lecz słońca nie ma. Obszar nieba cały
Pokryły gęste, ciężkie chmur stłoczonych zwały
Brudno-siwe u dołu, w środku granatowe.
Za niemi gdzieś tam słońce chyli jasną głowę,
Gotując się na pochód podczas nocy długi.
Wystrzelone z przeciwnych chmur dwie światła
smugi,
Przecinając się, tworzą krzyż, symbol cierpienia,
Wsparty o ziemię końcem jednego ramienia.
Czerwony mak, rosnący pod lasem, na grzędzie,
W zbity wał chmur, stojący na niebie wysoko,
Topi swe czarne, ślepe, nieruchome oko.
W powietrzu wisi cisza. Pewnie burza będzie.

Ogarnia mnie niepokój: siwych chmur gromada
W kształty jakby potwornej skały się układa,
Nad którą rozpościera się krzyż ciemno-złoty:
Całe niebo wygląda, jak widmo Golgoty.

I nagle mi się zdaje, że świat, ziemię całą,
Ludzi — jakieś powszechne nieszczęście spotkało,
Lecz ludzie tają w sobie wiedzę owej klęski,
By nie wzbudzać litości, bo litością gardzą.

Czuję niezmierny smutek, żal jakiś niemęski...
I napróżno z bolesnem zapytaniem patrzę
W rozpostarte na chmurach i coraz to bladsze,
Gasnące, Twego Znaku ramiona świetliste —
Znaku męki, cierpienia: klęski życia, Chryste...
Podniesienia mi trzeba... bardzo, bardzo, bardzo...

o

## »U MEGO OJCA...«

*Ewang. św. Jana*
*Rozdział XIV, wiersz 2.*

»U mego Ojca jest mieszkania wiele...«
Są pełne świateł, wielkie nieskończenie,
Niedoścignione dla oka przestrzenie...
A w nich są cisze, cisze, jak w kościele.

Nieznana ręka zaś na owe cisze
Cierpiące dusze kładzie i kołysze,
Że w nich żal wszelki i ból wieloletni
Milknie, jak dłonią zciszony glos fletni.

U mego Ojca — są spokoju morza:
Tam dusze, w których jeszcze huczy burza
Minionych bytów, kładzie Ręka Boża,
Koi i zwolna w głębinę zanurza.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Lecz wprzód musicie pod cierń podać głowę,
Jak Ja — i całą przejść mękę Ogrojca...
Zanim wejdziecie tam — w przestrzenie owe,
Gdzie są te cisze — do Mojego Ojca.

o

## UMARŁY BÓL.

W mej piersi ciemnym domu żył i w ściany domu
Pięściami nieraz bił, chcąc dobyć się, i krzykiem
Oznajmiał swą obecność, a językiem
Przemawiał jakimś obcym, nieznanym nikomu.

Nagle ucichł i niczem więcej się nie zdradza:
Widać zginął, w swej cieśni dusząc się powoli,
A trup jego zesztywnieć musiał, bo nie boli,
Tylko twardym szkieletem w piersi mi zawadza.

Nie bacząc na zawadę, idę w moją drogę.
Lecz straciłem swobodę ruchów: sztywnie chodzę
Wprost przed się, milcząc — nieraz zawadzam na drodze

Spieszącej rzeszy, której wyminąć nie mogę,
I rozbawione, żądne śmiechu rzesze
Swą niezgrabnością i milczeniem cieszę.

o

## TA JEDNA STRUNA.

Przyszedł raz do pieśniarza lud mnogi okrutnie
I, zdjęty ciekawością, chciał oglądać lutnię.
Więc na lutni wiszącej struny wiotkie, giętkie,
Jął skwapliwie kłaść palce niesforne i prędkie.

—Więc to na tych grasz strunach? Jakże to się splata
Z tych rozlicznych strun dźwięku pieśń, zanim ulata?
Pokaż-że mi to z bliska, daj-że, niech obaczę...
— Tej jednej struny nie trąć - rzekł pieśniarz —
ta płacze...

# OBRAZKI.

ŚMIESZNOŚĆ.

Salon błyszczy świeżością. Zebrani panowie
Bawią panie. Wokoło stereotypowy
Wyraz na wszystkich twarzach, uśmiech jednakowy
I pozę widać w ruchach, postawie i mowie.

Czasem tylko twarz jaka blaskiem się zapali,
Jakgdyby na nią światło niespodziane padło,
Rzucone przez ukryte gdzieś z boku źwierciadło:
Słowa rwą się i milkną ci co rozmawiali.

I oto się wyjaśnia milczenia przyczyna:
W cieniu, poza kwiatami, w stroju arlekina
Ukryta stoi Śmieszność i w stosownej chwili

Ze złośliwym uśmiechem na palcach się wspina
I wprost w stronę mówiących swe źwierciadło chyli —
Ażeby w tem źwierciedle siebie zobaczyli.

o

## SZCZEROŚĆ.

Pyszna zastawa stołu, doskonałe wety.
Właśnie przed chwilą pito pani domu zdrowie:
Do swoich miejsc przy stole wracają panowie —
Słychać szelest jedwabiu: siadają kobiety.

Sztuczne słowa się wiążą w frazesów bukiety,
Wyszukanej zaś gości towarzyszy mowie
Uśmiech, co myśl właściwą skryje lub dopowie —
Wśród szmeru słów pękają dowcipów rakiety.

Drżą w świetle kandelabrów szkła wytwornie rznięte.
Jedno tylko przy stole miejsce nie zajęte:
Ku niemu z głębi sali nieśmiało się skrada

Szczerość — ruchem niepewnym przy stole usiada,
I, patrząc na mówiących, dziwne znaki kreśli:
Jakgdyby związywała — ze słowami myśli.

o

## CZAS.

Rozeszło się już małe a dobrane grono,
Przebrzmiały dźwięki śmiechów i rozmów szelesty,
Znikły gibkie postacie z wytwornymi gesty —
Skończyło się przyjęcie — dobrze się bawiono.

Pierzchnął gwar. Jesteś sama... jakieś szare cienie
Rzeczywistość odsłania i kształt rzeczy nagi,
Wspierasz głowę na ręce z wyrazem powagi,
W twarzy ci się pojawia przesyt i znużenie.

A wśród tego Czas psotnik, co zwykle wciśnięty
Między fałdami portier i po kątach siedzi,
Wychyla się i skupia, nad złocone sprzęty

Wyciąga suchą rękę o kolorze śniedzi
I, kiedy zadumana zagłębisz się w ciszę,
Wkoło ust, oczu rylcem drobne zmarszczki pisze.

o

## PAMIĘĆ

Już późno. Jak te chwile bez końca się dłużą!...
W twej sypialni, na biurku, lampa żywo płonie,
Na jej tle się odbija, we włosów koronie,
Twa głowa, lampa myśli, złotą plamą dużą.

Czuwasz? — Ciszę wchłaniają wszystkie twoje nerwy:
Zda się, że każdy przedmiot własnem życiem żyje,
Słychać jakby czyjś oddech, jakby kroki czyje:
Ktoś, zda się, twą samotność podziela bez przerwy.

Czyjąś obecność czujesz tuż przy sobie:
Ktoś się nad tobą schyla, szatami szeleści,
Ktoś ci dłonią z pajęczyn włos i czoło pieści —

Ktoś dzwoni, potrącając o dzwoneczki ciszy...
Słuchaj!: to Pamięć moja tak czuwa przy tobie,
Każdej myśli, każdemu tchnieniu towarzyszy.

o

## SEN.

Noc. Spuszczone kotary, twych snów powiernice.
Światło lampki odznacza twe czoło sklepione.
Zakrój ust i, schowane w koronek zasłonę,
Dwie śpiące na twej piersi białe gołębice.

Wszedł Sen, dotknął ci czoła — zadrżałaś bez-
wiednie,
Sen twą Duszę za rękę wziął, powiódł przed siebie, —
W tej twojej białej sukni, podobną do ciebie, —
Mijasz ludzi i rzeczy widywane we dnie.

Lecz Sen maskę pozoru i ułud świecidła
Zdziera — i ukazuje ci w twarzy człowieczej
I poza formą rzeczy głąb: istotę rzeczy —

U nóg zdeptane kwiaty, połamane skrzydła...
Zdruzgotane kolumny... — Sen po przez nie skacze —
Dusza twoja zakrywa ręką twarz — tak płacze...

o

## MASKA.

Wstałaś. Spoglądasz w lustro. O mało ci z ręki
Na widok twojej twarzy lustro nie wypadło:
Taki wyraz twej twarzy odbiło źwierciadło,
Wyraz przeżytych wrażeń, w śnie doznanej męki.

Dręczący sen wciąż myśl twą zaprząta i trudzi.
Wychodzisz, chcesz popatrzeć na pogodne twarze,
Posłuchać szczerych śmiechów i rozmowy ludzi —
Przykry sen się rozwieje w głośnym życia gwarze.

Uśmiech twarz ci rozjaśnia, oczy blaski sieją.
Nagle snu przypomnienie w piersi zakołacze:
Śmiech zda się pospolitym, a rozmowa płaską...

Szczerość — zręcznie na twarzy ułożoną maską...
Choć oczy się weselą, a usta się śmieją,
Dusza znów, tak jak we śnie, kryje twarz i płacze.

o

## LAWN-TENNIS.

Gramy w »tennis«: — »Play«... — »ready«... tym-
czasem zmrok pada,
Bieleje plac... na niebie pierwsza gwiazda blada
Wykwita... rakiety nam w rękach migocą...
Prędzej!... prędzej!... by partyę ukończyć przed nocą

A wtem mi się wydaje, żeśmy, tak jak stali,
Nagle wszyscy pomarli i, jak orszak cieni,
Zostaliśmy podmuchem śmierci przerzuceni
Na inny świat w przestworzu — i tam gramy dalej.

Stoimy tam w tem samem towarzyskiem kole...
Widma ludzkie, swe własne echa czy symbole,
Roznamiętnione grą dziwaczne twory...

Taki sam plac — zmrok gęsty... lecz my światła
snopy
Z iskrzących oczu sobie rzucamy pod stopy:
— »Play« — »ready« — »fifteen«... — nasze
wołają upiory.

o

# Z NATURY.

## HAFCIARKA.

Noc. Wieczorem deszcz ciepły upadł. Pachnie sosna.
Po stokach wzgórz, gdzie rośnie bezlistna leszczyna,
Chodzi biała, powiewna, jakby z mgły dziewczyna,
Nad siecią drzew bezlistnych pochylając krosna.

Tam, gdzie z leszczyną splata się grabina,
W szarawą kanwę lasu haft zielony wpina.
I śmieje się dziewczęcia twarzyczka radosna:
Rano przyjdzie oglądać pracę Siostra Wiosna.

Przeźroczyste swe krosna trzyma ręką jedną,
Drugą dzierżga — i patrzy, czy gwiazdy nie blednę..
Tu, tam, bliżej i dalej, w takt rytmu co chwila

Ponad młodziutkim lasem swe krosna pochyla.
Od stoku wzgórz po szczyty biega ręka szparka —
Zanim gwiazdy pobledną, śpieszy się Hafciarka.

o

## RANEK.

Ranek, letni poranek — jasno, pełno rosy...
W dali wzgórza, spowite w lekką mgły osnowę...
Niebo wisi nad ziemią ciemno-szafirowe —
Zda się, że się zniżyły ku ziemi niebiosy.

Cicho — tylko świerszczyków słychać senne głosy,
Jakgdyby prowadzoną po zbożach rozmowę...
W złocistem słońcu drzemią lasy granatowe
I łan pszeniczny stoi, zwarty, złotokłosy
I cichy — ledwie czasem jakie źdźbło się ruszy...
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

A drugi taki ranek widzę tam — w mej duszy...
Tam także taka cisza, jak w polu, się tworzy...

I nagle ktoś mi w piersi, jakby drzwi, otworzy
I ukrytą za niemi zasłonę ugina:
Jakiś kapłan tam wchodzi — modlić się zaczyna..

o

## WIDOKI NIEBA.

I.

Zrzuciwszy z siebie ranną białych chmurek wełnę,
Złotawych błysków pełne i uśmiechów pełne,
Niebo, w słońcu majowem, za mleczną osłoną,
Odkryło swe błękitne, wypieszczone łono.

A mnie duszę do tego rozsianego złota
I tych barw wypieszczonych uniosła tęsknota.
Zdaje mi się, że czoło i skronie znużone
Opieram o tę mleczną błękitu zasłonę

I że ku mnie się schyla z błękitnego łona
Postać, cała błękitna: w błękitne ramiona
Bierze mnie — ja całuję błękitną twarz, szyję,
I z ust błękitnych spokój niezmierzony piję.

○

II.

Pędzone szybkim wiatrem po porannem niebie,
Chmurki, nisko nad ziemią, mkną gdzieś w dal przed siebie.
Na ziemi taka cisza, że, wsłuchany w ciszę,
Prawie szelest lecących białych chmurek słyszę.

Zdaje mi się, że patrzę na twą twarz, gdy po niej
Samotność roje myśli, jak wiatr chmury, goni,
Na twe czoło i oczy, grające myślami...
I chciałbym już tak patrzeć — patrzeć godzinami...

Poić się tym widokiem, bo kiedy tak patrzę,
To się we mnie na chwilę wszelka pamięć zatrze,
I tak mi jest, jakgdyby siłą niepojętą
Z piersi cicho, ostrożnie wszystek ból wyjęto.

o

## NA LEŚNEJ POLANIE.

Chcąc ujść przed spieką gorącego rana,
Przed miejskim gwarem i miejską ciasnotą,
Minąłem zieleń łąk, ciszę pól złotą,
I oto stoję, gdzie leśna polana

Na pół zbudzona ze snu, mokra z rosy.
W tej wonnej, chłodnej, zamkniętej przestrzeni,
Dokąd już ludzkie nie dochodzą głosy,
Dusza mi w czucie, słuch i wzrok się mieni.

Jaka tu cisza!... znikąd żadnej wieści...
Niekiedy tylko gorący i złoty
Blask w cień upadnie i z drżeniem tęsknoty
W trawie twarzyczkę stokroci zapieści.

Niekiedy tylko zaleci w tę ciszę
Wiater, przybłęda gdzieś z dalekiej strony,
I, tu padając, podróżą zmęczony,
Śpiącej paproci głową zakołysze.

Cisza — i spokój... zda się, jakiejś młodej
Twarzy sen szczęścia śni się, sen pogody
Niezamąconej, trwającej przez wieki:
Usta coś szepczą cicho, drżą powieki...

Żaden niepokój tej twarzy nie budzi,
Nie ma w niej pytań, wątpień, jak u ludzi,
Żaden w niej rys się nie skrzywi boleśnie —
Niekiedy tylko krzewy drgną, jak we śnie.

Cisza — i prawda, w tę ciszę zamknięta...
Jakby zaduma osnuwa drzew szczyty,
Leśny kwiat wznosi naiwne oczęta
W porozwieszane nad lasem błękity.

Z tej ciszy — jakby z jakiej prostej treści —
Możnaby, zda się, odtworzyć na nowo
To w życiu dawno gdzieś zgubione Słowo,
Co może cały sens życia pomieści.

I pójść z tem Słowem stąd po życie nowe —
Dolę już choćby malutką i lichą,
Byle mieć tylko gdziebądź oprzeć głowę —
— Zdoła-ż to moje serce? — Pytam — cóż tak
cicho?!...

o

## NAD MORZEM.

### I.

### Upał.

Upał. Na morze spływa słoneczna ulewa.
Niebo zdaje się zniżać: znika przestrzeń pusta
Między niebem a morzem — wielkie niebios usta
Całują jasne morze, a morze omdlewa.

Odbijmy łódź od brzegu i połóżmy wiosła! —
Nieraześmy naglili ręce utrudzone,
A zawsze wiatr nam znosił łódź w przeciwną
stronę —
Puśćmy ster, niechby fala sama nas poniosła!...

Odbiwszy łódź od brzegu, gdzie ludzie zostali,
Płyńmy tam, moja droga, w jasność, coraz dalej,
Póki w ten pocałunek morza nie wpłyniemy —

Słońce przed nami ścieli z srebrnych łusek drogę —
Tyle mam ci powiedzieć... słów dobyć nie mogę,
Tylko patrzę... bo usta wiąże zachwyt niemy.

o

II.

Madonna.

Na wmurowanej w skalny brzeg podstawie swojej,
Matka Boska kamienna, nieruchoma, cicha,
Z ręką nad obszar morza wyciągniętą stoi
I błogosławiąc fale, sennie się uśmiecha.

Wszystkich tych, co tam w dali płyną, błogosławi:
I tych, których od pewnej zguby już nie zbawi
Żadna moc, bo, straciwszy swój okręt, zostali
W wątłej łodzi, bez steru, wśród ryczącej fali;

I tych, których błyszczący okręt raźno płynie
W przesłoneczną pogodę po barwnej głębinie,
Ale w głębi ich piersi wciąż burza szaleje,
Bo potracili wszystkie wiary i nadzieje

I nic ich już od pewnej zguby nie wybawi.
Tych także wyciągniętą ręką błogosławi,
Do nich także z nadbrzeżnej skały się uśmiecha
Swoim kamiennym wdziękiem Matka Boska cicha.

*Abbazia w czasie siroco.*

## PRZYJDŹ, NOCY...

Przyjdź, przyjdź, o nocy, przyjdź o ciemnowłosa!
Patrz: po pokosach do domu idące,
Omdlewające ze zmęczenia słońce
I chłodna twoja poprzedniczka, rosa,

I — duch mój czeka ciebie, czarnokosa.
Przyjdź szafirowa, gwiazdami złocona,
Weź mnie w twe ciemne, wilgotne ramiona
I syp mi iskry z gwiaździstego trzosa

W oczy. Niech twoja ręka mi nachyli
Świat pod dziwaczny ów widzenia kąt,
Pod którym może będziemy patrzyli

Na świat z za grobu, niechaj mi roztoczy
Przed wzrokiem duszy ów bajeczny ląd,
Za którym darmo za dnia zwracam oczy.

o

## W JESIENNĄ NOC.

Słyszysz głos wichru, co się w sieć gałęzi
Drobnych zaplątał w głuchą noc jesienną?
Zrywa ostatni liść z słabej uwięzi
I rzuca w ciemność i pustkę bezdenną.

Jakby tam jakieś niewidzialne usta
Przez zaciśnięte, drżące z bolu wargi
Rzucały w ciemną dal, gdzie przestrzeń pusta,
Bezładne, łzami przepojone skargi.

Jakgdyby bardzo ktoś żałował za czem,
A sił już nie miał, by swój żal bez granic
Wyrazić w słowach i wybuchał płaczem...
Wszelka pociecha, każde słowo na nic...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Duchu mój, nie płacz!... Czas przyjdzie, konieczny,
Kiedy, jak odblask niknącego gromu,
Wrócisz do swego przedwiecznego domu:
Do niegasnącej światłości słonecznej.

Ciemność, jęk — nocy jesiennej ohyda —
Życie, byt cały stamtąd ci się wyda
Czemś tak dalekiem, taką troską lichą...
Czas przyjdzie — nie płacz... cicho — cicho —
cicho...

## ŚNIEG PADA.

Na czarnoziem, przed memi oknami,
Śnieg wciąż pada gęstymi płatkami
I w pstre centki tło roli mi plami.

Z chmur się sypie, chmur ciężkich jak ołów,
Zaczepionych o wieże kościołów,
Szarych, gęstych, jak masy popiołów.

Przypatruję się śniegu igraszce:
Tak jak pyłki, skłócone we flaszce,
Z rytmem śniegu mi krążą po czaszce

Roje myśli na tle czarnoziemu...
I składają — sam nie wiem, jak, czemu? —
Jakiś rebus wzrokowi mojemu:

— Patrz... — coś w duszy bełkoce mi, gada: —
To świat... — owa bolesna szarada...
A śnieg pada i rebus wciąż składa,

Cicho pada i rolę mi plami...
Ramy okna się chwytam rękami,
I uśmiecham — a dławię się łzami...

## ZACZNĘ NA NOWO ŻYĆ..

Wyrosnę z ziemi źdźbłem, łodygą, listkiem,
Wybujam w drzewo i wystrzelę w kwiat...
Z mych prochów wstanie cały istnień świat...:
Zacznę na nowo żyć — tem życiem wszystkiem.

Wśród nowych wzruszeń, nieznanych upojeń
Przeistaczając się w powszechny byt,
Śnić będę życia ubiegłego myt
I ból przetwarzać na rozkosz ukojeń.

Będę rozkoszą ziół, pojonych rosą...
Będę tym dreszczem z snu zbudzonych drzew,
Kiedy się tulą w mgieł porannych kwef... —
Radością, którą ranne tchnienia niosą.

Będę powiewem wiatru, który spiętrza
Po polach fale lśniących srebrem żyt,
I pochyla na łąkach rzędy kwietnych kit, —
Tą wonią, która płynie z kwiatów wnętrza;

Temi echami, co w noc letnią dzwonią,
I tym oddechem przestrzeni i łąk,
Tą ciszą, która rozlewa się w krąg... —
Pokojem, prawdą, szczęściem i harmonią...

# NIEWYŚPIEWANE PIEŚNI.

## NIEWYŚPIEWANE PIEŚNI.

Zawsze-ż się tak rwać będziecie
Wy, niewyśpiewane
Pieśni moje — ptaki moje
W piersi uwiązane?

Czy wy zawsze tak będziecie,
Z przestrzeni i słońca,
Zlatywać się do mej piersi
I wikłać bez końca —

W duszy, jak w sieci, trzepotać? —
W tę sieć zaplątane,
W lot się zrywać i skrzydłami
Bić w pierś, jak o ścianę?

Czy i wtedy, kiedy przyjdzie
Chłód i pierś wyziębi,
Będziecie mi w piersi grały,
Jak chóry gołębi?

Czy i wtedy, gdy przeminę
I rwać się przestanę,
Wy się jeszcze rwać będziecie
Wy, niewyśpiewane

Pieśni moje — ptaki moje
W piersi uwiązane —
Zawsze-ż się tak rwać będziecie
Wy niewyśpiewane?

o

TREŚĆ:

Z NATURY



NIEWYŚPIEWANE PIEŚNI

# Wydawnictwa Księgarni Polskiej we Lwowie.

**Brandes J.** Henryk Ibsen. Cena kor. 2·—
**D-mol.** Symfonia jesienna. Cena kor. 1·50
— Théme varie. Cena kor. 2·—
**Gąsiorowski W.** Rapsody Napoleońskie. Szkice histor. Z ilustracyami.
**Hojnacki Wł.. Dr.** Hygiena kobiety, illustr. Cena kor. 2·60
**Kasprowicz J.** Moja pieśń wieczorna. Poematy, z portretem autora. Cena kor. 4, w ozdobnej opr. kor. 5.
— Salve Regina. Poematy. Cena kor. 3·50, w ozdobnej oprawie kor. 4·50.
— Miłość. Z ilustracyami E. Okunia i E. M. Liliena. Cena w ozdobnej oprawie kor. 8·—
**Nowaczyński A. N.** Małpie zwierciadło. Cena kor. 5·—
**Pieśni Anakreonta.** Cena kor. 2·—.
**Poe E. A.** Morderstwo na rue Morgue i inne nowele w tłumaczeniu W. Szukiewicza. Cena kor. 3·—
**Przybyszewski St.** Nad morzem. Cena kor. 3·—
— »Złote runo«. Cena kor. 1·40.
— Goście. Cena 80 h.
— Po drodze. Cena kor. 3·60.
— Na tym padole płaczu. Cena kor. 2·—
**Schreiber W.** Małżeństwo i jego dzieje. Z ilustracyami. Cena kor. 4.
**Staff L.** Mistrz Twardowski. Z ilustracyami E. Okunia. Cena kor. 6.
— Dzień duszy. Cena kor. 2·60.
**Szekspir** Dzieła 10 tomów. Cena kor. 15, w ozdobnej oprawie kor. 20.
**Wagner R.** Latający Holender. Cena 80 h.
— Walkirya. Cena kor. 1·50.
**Zapolska G.** Przedpiekle. Cena kor. 3·50.